

Bartłomiej Kozłowski

„Jak się chce psa uderzyć, kij się zawsze znajdzie”

- czyli o decyzji Sądu Najwyższego uznającej internet za "miejsce publiczne"

Niedawne orzeczenia sądowe – co prawda póki co tylko sądów rejonowych – oddalające oskarżenia Obywateli RP o różne formy zakłócania porządku publicznego pokazują, jak sądy potrafią – wbrew dążeniom władzy wykonawczej – interpretować przepisy prawne tak, by chronić prawa ludzi do korzystania z ich konstytucyjnie gwarantowanych wolności – takich, jak wolność słowa i zgromadzeń. Wśród orzeczeń takich można wymienić to dotyczące trzech osób, które o godzinie 6 rano 25 lipca 2017 r. stały na chodniku w pobliżu domu Jarosława Kaczyńskiego z transparentem „Zdrada Ojczyzny nie ulega przedawnieniu”. Żoliborski komendant policji oskarżył ich o zorganizowanie „wspólnie i w porozumieniu” demonstracji bez wymaganego zezwolenia, a także o umieszczenie transparentu w miejscu publicznym do tego nieprzeznaczonym i na dodatek bez zgody zarządzającego tym miejscem Zarządu Dróg Miejskich. Sędzia Piotr Nowak z Sądu Rejonowego dla Warszawy – Żoliborza – nie zaprzeczając temu, że czyn Obywateli RP z czysto formalnego punktu widzenia naruszał pewne przepisy kodeksu wykroczeń – odmówił wszczęcia postępowania przeciwko nim, powołując się na artykuł 1 k.w. zgodnie z którym odpowiedzialności za wykroczenie podlega tylko ten, kto popełnia czyn „społecznie szkodliwy”. Inny przykład to uniewinnienie Obywateli RP oskarżonych – w tym przypadku już przez prokuraturę – o naruszenie „miru domowego” parlamentu. Zdaniem prokuratury przekraczając okalający parlament murek popełnili oni przestępstwo z art. 193 kodeksu karnego, zgodnie z którym „Kto wdziera się do cudzego domu, mieszkania, lokalu, pomieszczenia albo ogrodzonego terenu albo wbrew żądaniu osoby uprawnionej miejsca takiego nie opuszcza, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku”. Sąd uznał, że nie popełnili oni zarzucanego im przestępstwa, gdyż murek przez który przestąpili, aby stanąć na dziedzińcu Sejmu z biało- czerwona flagą, nie był ogrodzeniem, zbudowanym z intencją utrudnienia wstępu na znajdujący się za nim teren, lecz jedynie elementem architektury krajobrazu, wzniesionym ze względów czysto estetycznych.

To moim zdaniem są jak najbardziej słuszne wyroki. Ale czegokolwiek dobrego o tych wyrokach nie można byłoby powiedzieć, chciałbym zauważyć jedno: wyroki te zostały wydane w sprawach osób, co do których z dużą dozą prawdopodobieństwa można przypuszczać, że sędziowie mają wobec nich pewną sympatię – wszak Obywatele RP protestowali przeciwko wyjątkowo krytycznie ocenianej w środowisku sędziowskim pisowskiej reformie sądów. Mateusz Sitas, lider stowarzyszenia „Duma i Nowoczesność” – które zasłynęło ze zorganizowanych w lesie koło Wodzisławia Śląskiego obchodów 128 rocznicy urodzin Adolfa Hitlera – przypuszczać można, lubiany przez takich ludzi, jak sędziowie – a także Rzecznik Praw Obywatelskich Adam Bodnar - nie jest. Niedawny wyrok, jaki w dotyczącej go sprawie wydał Sąd Najwyższy i do wydania którego Adam Bodnar wydatnie się przyczynił pokazuje, jak można instrumentalnie potraktować prawo tak, by móc kogoś takiego jak on ukarać.

W sprawie Mateusza Sitaso poszło o to, że na stronie internetowej kierowanego przez niego stowarzyszenia „Duma i Nowoczesność” opublikowane zostały naklejki, na których znajdowały się symbol graficzny, powszechnie znany jako znak „zakaz pedałowania” oraz napisy, takie jak: „Dupa jest od srania, zakaz pedałowania”, „Zakaz pedałowania, homoseksualiści wszystkich krajów, leczcie się” oraz „Stop pedofilom, chrońmy nasze dzieci”. Pod koniec 2016 r. naklejki te znaleźli na stronie „DiN” policjanci i oskarżyli Mateusza Sitaso o popełnienie wykroczenia określonego w art. 141 kodeksu wykroczeń, zgodnie z którym ten, kto „w miejscu publicznym umieszcza nieprzyzwoite ogłoszenie, napis lub rysunek albo używa słów nieprzyzwoitych, podlega karze ograniczenia wolności, grzywny do 1500 złotych albo karze nagany”. Sąd Rejonowy w Wodzisławiu Śląskim sprawę przeciwko Mateuszowi Sitasowi umorzył, uznając, że jakkolwiek umieszczone przez niego w Internecie treści były nieprzyzwoite, to jednak strona internetowa, na której treści te można było zobaczyć, nie jest miejscem publicznym. Decyzję wodziślawskiego sądu zaskarżył do Sądu Najwyższego w drodze kasacji Rzecznik Praw Obywatelskich Adam Bodnar. W swojej skardze napisał on, że „Wbrew przekonaniu wyrażonemu przez sąd rejonowy, Internet nie jest jedynie zapisem danych w komputerach, lecz stanowi on ogólnoswiatową sieć, system”. Sąd Najwyższy zgodził się z RPO i uznał, że Internet jest miejscem publicznym w rozumieniu art. 141 k.w. Sprawa Mateusza Sitaso wróci więc do Sądu Rejonowego w Wodzisławiu Śląskim, który będzie musiał rozpatrzyć, czy popełnił on wykroczenie polegające na umieszczeniu nieprzyzwoitych napisów bądź rysunków w miejscu publicznym, jakim w świetle rozstrzygnięcia Sądu Najwyższego w jego sprawie jest Internet.

Orzeczenie Sądu Najwyższego budzi moje wątpliwości – więcej nawet, wywołuje wrażenie instrumentalnej, skrojonej pod przypadek konkretnej osoby, interpretacji prawa. Czy Internet rzeczywiście jest miejscem publicznym w tym znaczeniu, w jakim pojęcie miejsca publicznego zostało użyte w art. 141 k.w.? Próbując odpowiedzieć na tak postawione pytanie chciałbym zauważyć, że w prawie polskim nie ma – jak się okazuje – żadnej definicji „miejsca publicznego”. Generalnie rzecz biorąc przyjmuje się jednak, że miejscami publicznymi są takie miejsca, jak ulice, place, skwery, ogólnodostępne budynki – np. sklepy – czy środki publicznego transportu. Chodzi więc o miejsca do których ludzie mają zasadniczo rzecz biorąc swobodny dostęp. Niekoniecznie musi być to przy tym dostęp stały i bezwarunkowy. Miejscem publicznym jest z pewnością sklep, otwarty za dnia, lecz zamknięty w nocy. Jest też nim niewątpliwie kino, teatr czy muzeum, do którego można wejść dopiero po zakupieniu biletu. Czy w świetle powyższego miejscem publicznym jest także Internet? Ponieważ w polskim prawie nie ma żadnej pozytywnej definicji „miejsca publicznego” – mówiącej, że miejscem publicznym jest to, to i to – można usiłować twierdzić, że Internet jest takim miejscem. Trzeba się zgodzić co do tego, że Internet jest – w jakimś przynajmniej sensie tego słowa – przestrzenią publiczną, dostępną w gruncie rzeczy dla wszystkich. Wszyscy, którzy czytamy ten – przykładowo – tekst, możemy czytać, oglądać, czy słuchać treści umieszczonych w Internecie przez innych jego użytkowników – niezależnie, czy są oni z Polski, czy z Niemiec, czy z Francji, czy z Brazylii, czy z USA, czy z Nowej Zelandii. I możemy też umieszczać w Internecie własne treści – i treści te będą dostępne wszędzie tam, gdzie tylko dociera Internet – a więc nawet choćby i na antypodach.

Można więc twierdzić, że Internet jest miejscem publicznym. Ale jeśli nawet *można* tak twierdzić, to chciałbym mimo wszystko zauważyć, że do tej pory żaden sąd – o ile mi wiadomo – nie uznał, że Internet jest miejscem publicznym, w którym umieszczanie nieprzyzwoitych ogłoszeń, napisów czy rysunków, a także używanie słów nieprzyzwoitych (np. w nagraniach audio czy video) stanowi czyn podlegający karze jako wykroczenie. Mimo, że Internet istnieje w Polsce już od dwudziestu kilku lat i nieprzyzwoitych słów czy rysunków jest w nim bez wątpienia od groma i jeszcze trochę. W sprawie treści umieszczanych w Internecie zapadło do tej pory w Polsce wiele wyroków. Dotyczyły one takich spraw, jak zniesławienie, zniewaga, czy „mowa nienawiści”. Nie zetknąłem się jednak – przed omawianym tu wyrokiem Sądu Najwyższego – z informacją, by jakiś sąd uznał, że umieszczanie w Internecie nieprzyzwoitych słów czy rysunków stanowi wykroczenie określone w art. 141 kodeksu wykroczeń i że Internet jest miejscem publicznym w rozumieniu tego przepisu. Więcej – nie zetknąłem się też z informacją, by jakiś sąd uznał do tej pory – w ciągu 47 już lat obowiązywania kodeksu wykroczeń – że miejscem publicznym jest tradycyjna, drukowana prasa. A przecież jeśli uznaje się, że coś takiego, jak strona internetowa jest miejscem publicznym, to nie ma żadnego logicznego powodu, by nie uznać, że takim miejscem jest także strona gazety lub czasopisma. Tak samo każdy może przeczytać bądź zobaczyć, co się w niej znajduje. Każdy jest narażony na ewentualne zetknięcie się z umieszczonymi w niej nieprzyzwoitymi treściami w podobny w gruncie rzeczy sposób, w jaki narażony jest na zetknięcie się z takimi treściami w Internecie.

Biorąc więc pod uwagę to, że żaden sąd – a na pewno nie Sąd Najwyższy – nie uznał przez wspomnianym tu orzeczeniem, że Internet jest miejscem publicznym, w którym umieszczenie nieprzyzwoitych ogłoszeń i napisów oraz używanie nieprzyzwoitych wyrazów stanowi wykroczenie – choć z pewnością było już do tego wiele sposobności - a także, że w ciągu 47-letniej już historii obowiązywania kodeksu wykroczeń i jego art. 141 nigdy nie zostało uznane, że miejscem publicznym w rozumieniu tego przepisu jest drukowana prasa, nie trudno jest dojść do wniosku, że Sąd Najwyższy, uznając, że takim miejscem Internet wyskoczył niczym przysłowiowy Filip z konopi. A dlaczego to zrobił? Odpowiedź jest prosta: bo trafił na kogoś, kogo jego zdaniem – i zdaniem Rzecznika Praw Obywatelskich – należało ukarać. Ale nie z powodu nieprzyzwoitości jego wypowiedzi niezależnej od istoty wyrażanych przez niego poglądów – lecz przeciwnie, dokładnie za jego poglądy – mające charakter wrogi wobec homoseksualistów - używając art. 141 k.w. jako narzędzia umożliwiającego ukaranie go za ich wygłoszenie.

Bo – powiedzmy sobie szczerze - nieprzyzwoitość treści umieszczonych przez Matusza Sitasę na stronie internetowej „Dumy i Nowoczesności” była w najgorszym przypadku taka sobie, o ile nie nawet wątpliwa. Znow, oczywiście – podobnie, jak w prawie polskim nie ma żadnej definicji „miejsca publicznego” tak samo nie ma definicji „nieprzyzwoitości”. Tradycyjnie jednak za nieprzyzwoite uważało się te słowa, które mają jakieś konotacje z seksem, oraz z wydalaniem. Chodzi więc o powszechnie uznawane za wulgarne określenie narządów płciowych i wydalniczych, oraz czynności wydalniczych i seksualnych. Czy w tym sensie treści zamieszczone na stronie DiN były nieprzyzwoite?

Odnosnie tego, od razu można stwierdzić, że nie były czymś nieprzyzwoitym zdania: „Zakaz pedałowania, homoseksualiści wszystkich krajów, leczcie się” oraz „Stop pedofilom, chronimy nasze dzieci”. Pierwsze z tych zdań może być oczywiście obraźliwe wobec homoseksualistów, może nawet stanowić skierowaną przeciwko nim „mowę nienawiści”. Ale nie jest nieprzyzwoite w powyższym - w każdym razie - sensie. Drugie zdanie samo w sobie nie jest ani obraźliwe, ani nienawistne w stosunku do kogokolwiek – no, chyba że w stosunku do pedofilów. W kontekście innych treści na stronie DiN, o jakich była tu już mowa można jednak to zdanie odczytać jako sugestię, że homoseksualiści są pedofilami – przed którymi trzeba chronić dzieci – i ze sporym prawdopodobieństwem można przypuszczać, że z intencją takiego zrozumienia go przez odbiorców zdanie to zostało na stronie DiN zamieszczone. Taka sugestia jest oczywiście fałszywa. Homoseksualiści nie są w jakimś zasadniczo większym stopniu pedofilami, niż heteroseksualiści są pedofilami – co najwyżej wśród jednych i drugich zdarzają się pedofile. Sugerowanie, że wszyscy homoseksualiści – czy nawet jakaś bardzo znaczna część homoseksualistów – to zagrażający dzieciom pedofile jest niewątpliwie naganne. Coś takiego – przypuszczać można – ma na celu pobudzenie do nienawiści przeciwko homoseksualistom (choć moim zdaniem nie powinno być karalne – w swoich tekstach, zamieszczonych na tym **blogu** i na starszej od niego **stronie internetowej** wielokrotnie wypowiadałem się przeciwko prawnym zakazom „mowy nienawiści”). Ale czegokolwiek nie sądzić by o tym zdaniu, zdanie to po prostu i zwyczajnie – w takim sensie, w jakim była o tym mowa – nie jest nieprzyzwoite. W oczywisty zupełnie sposób.

Czy jest czymś nieprzyzwoitym znak „zakaz pedałowania”? Wszyscy chyba wiemy, jak znak ten wygląda, ale dla dobra argumentacji postaram się go opisać. Wygląda więc on tak: na białym tle znajdują się schematycznie przedstawione postacie dwóch czarnych ludzików. Znajdujący się po prawej stronie ma tułów oraz głowę ustawione pod kątem 90° w stosunku do nóg i opuszczone w dół ręce, ten po lewej stronie stoi w pozycji wyprostowanej tuż za nim, trzymając ręce na jego biodrach. Obie postacie przekreślone są czerwonym, ogólnym znakiem zakazu.

No i jest to nieprzyzwoite, czy nie? Pozy, w jakich znajdują się obie przedstawione na rysunku postacie sugerują, że odbywają one za sobą stosunek analny – no cóż, homoseksualiści jak wiadomo w ten sposób uprawiają ze sobą seks (choć nie wiem, czy wszyscy – specjalnie mnie to zresztą nigdy nie interesowało). Komuś, kto wymyślił znak „zakaz pedałowania” niewątpliwie chodziło o to, by oglądający ten znak tak to rozumieli. Publiczne przedstawianie czynności seksualnych można uznać za rzecz nieprzyzwoitą. Jednak, jak już wspominałem, obie przedstawione na znaku postacie są czysto schematyczne. Nie ma tam pokazanych jakichkolwiek anatomicznych szczegółów – np. genitaliów. Jest taka symboliczna forma przedstawiania homoseksualnego seksu rzeczą nieprzyzwoitą? Na pewno można to różnie oceniać, ale moim zdaniem – biorąc pod uwagę to, co zostało tu już powiedziane – można w to co najmniej wątpić.

„Treści nieprzyzwoitych” można dopatrzeć się w zdaniu: „Dupa jest od srania, zakaz pedałowania”. W zdaniu tym są dwa uchodzące zazwyczaj za nieprzyzwoite wyrazy: „dupa” i „srania”. Ale za tym zawierającym nieprzyzwoite słowa zdaniem w oczywisty sposób kryje się pogląd – podobnie, jak kryje się on za (nieprzyzwoitym – niech będzie) znakiem „zakaz

pedałowania”. Pytanie oczywiście, jaki *dokładnie* jest to pogląd. Pogląd ten – sędzę – może być różny w przypadku różnych osób posługujących się wspomnianym zdaniem, czy znakiem „zakazu pedałowania”. Jeśli jest to po prostu stwierdzenie, że seks homoseksualny – a może w ogóle seks analny, niezależnie od płci partnerów? – jest czymś niewłaściwym – to cóż, jest to tylko kwestia gustu na temat konkretnego sposobu uprawiania seksu. Jeśli jest to przedstawiana na serio sugestia, że seks homoseksualny powinien być czymś zakazanym (i karalnym) to jest to bardzo poważny pogląd wkraczający w sferę dyskusji o takich sprawach, jak prawo karne oraz prawa i wolności obywatelskie. Z mojego punktu widzenia – i w ogóle z liberalnego punktu widzenia - pogląd ten zasługuje na dezaprobatę, gdyż wyraża chęć ograniczenia – dodajmy jeszcze, że nieuprawnionego i niedopuszczalnego ograniczenia - wolności innych ludzi, której to częścią jest wolność seksualna. Nikt, kto w elementarny sposób respektuje podstawowe prawa i wolności jednostki nie może się zgodzić z poglądem, że seks homoseksualny (i analogicznie – seks analny, oralny, seks w jakichś dziwnych pozycjach itp.) powinien być czymś zabronionym.

Przy całej dezaprobatie dla takiego poglądu stanowczo jednak nie można – moim zdaniem – zgodzić się sugerowaną przez autora **pewnego wpisu na stronie internetowej KOD** opinią, że wyrażanie tego rodzaju poglądów odbiera innym ludziom prawo do samostanowienia. Wyrażenie jakiegokolwiek poglądu nie może *per se* odebrać innym ludziom możliwości stanowienia o sobie. Jeśli ktoś wyraziłby pogląd, że wszyscy powinni być jego niewolnikami – a więc powinni być pozbawieni prawa do samostanowienia – nikt nie stałby się pozbawionym prawa do decydowania o sobie niewolnikiem tylko dlatego, że ten ktoś coś takiego powiedział, czy napisał. Nikt nie stałby się jego niewolnikiem nawet wówczas, gdyby stwierdził on że wszyscy – czy też może niektórzy – ludzie *są* jego niewolnikami. Propagowanie poglądów wyrażających chęć odebrania innym ludziom prawa do samostanowienia co najwyżej może – teoretycznie rzecz biorąc – doprowadzić do pozbawienia innych ludzi prawa do samostanowienia, lecz nie jest to równoznaczne z tym, że ich takiego prawa samo z siebie pozbawia. Nikt też chyba nie sugeruje w sposób poważny, że niebezpieczeństwo pozbawienia innych ludzi ich praw i wolności jest w przypadku czegoś takiego, jak publiczne wyrażanie poglądu, że homoseksualizm powinien być zakazany niebezpieczeństwem wyraźnym i bezpośrednim. Z pewnością są inne, niż zakaz wyrażania takiego poglądu sposoby na zapobieżenie realizacji tego – bardzo teoretycznie wyobraźnego – zagrożenia.

W szanującym ludzkie prawa i wolności państwie poglądom nietolerancyjnym należy się przeciwstawiać – ale nie poprzez represje wobec ich głosicieli – a poprzez krytykę, polemikę, ośmieszanie takich poglądów, edukację i przeciwstawianie im innych opinii. Takie zdanie wielokrotnie *implicite* czy *explicite* wyrażałem w swoich tekstach. Obawiam się jednak, że Rzecznik Praw Obywatelskich ma na ten temat zupełnie inne zdanie. Nie jest chyba tajemnicą to, że Adam Bodnar jest wielkim zwolennikiem zakazów „mowy nienawiści” – nie tylko tych, które w prawie polskim już istnieją (a które dotyczą się publicznego nawoływania do nienawiści oraz znieważania całych grup lub konkretnych osób z takich powodów, jak przynależność narodowościowa, etniczna, rasowa, wyznaniowa i bezwyznaniowość) lecz także postulowanego głównie przez środowiska lewicowe zakazu „mowy nienawiści” wobec

(m.in.) homoseksualistów. Póki co jednak, zakazu „mowy nienawiści” przeciwko homoseksualistom – którego naruszenie miałyby według przedstawionej już **propozycji zmiany kodeksu karnego** być karane nawet więzieniem – w polskim prawie nie ma. Lecz Adam Bodnar znalazł na to sposób – posłużył się od dawna istniejącym w polskim prawie przepisem zakazującym umieszczania w miejscach publicznych nieprzyzwoitych ogłoszeń, napisów, rysunków oraz używania w takich miejscach słów nieprzyzwoitych niejako *in lieu* takiego – ach, co za szkoda, że go jeszcze nie ma! – mógłby zapewne powiedzieć Bodnar – zakazu. W każdym razie nie mam zasadniczych wątpliwości odnośnie tego, że składając w Sądzie Najwyższym skargę kasacyjną, formalnie rzecz biorąc dotyczącą tylko tego, że Sąd Rejonowy w Wodzisławiu Śląskim nie uznał Internetu za miejsce publiczne w rozumieniu art. 141 kodeksu wykroczeń, Adam Bodnar miał na celu doprowadzenie do ukarania Mateusza Sitas a za meritum wyrażanych wobec niego poglądów, tj. za nietolerancję wobec homoseksualistów, a nie tylko za – co najwyżej umiarkowanie, jak już wspomniałem – nieprzyzwoitą formę ich wyrażania, niezależnie od kryjącej się za tą formą idei.

Podobnie sędziowie Izby Karnej Sądu Najwyższego – choć formalnie rzecz biorąc zajmowali się jedynie czysto abstrakcyjnym problemem tego, czy Internet jest miejscem publicznym – wiedzieli przecież kogo dotyczy się rozpatrywana przez nich sprawa i dlatego wydali takie, a nie inne orzeczenie. Orzeczenie to będzie miało, oczywiście, wpływ nie tylko na sytuację Matusza Sitas a – jego to tam pal sześć! Jeśli Internet jest „miejscem publicznym” to każdy, kto na stronie internetowej, w blogu, w komentarzu pod artykułem, czy w umieszczonym np. na Youtube filmie użyje jakiegoś brzydkiego słowa – dajmy na to „kurwa” – będzie musiał – teoretycznie przynajmniej rzecz biorąc – liczyć się z możliwością wytoczenia mu procesu i niemalą grzywną, a nawet karą ograniczenia wolności – co przewiduje art. 141 kw. Dalej, choć z orzeczenia Sądu Najwyższego nie wynika wprost, że miejscem publicznym w rozumieniu art. 141 k.w. jest nie tylko Internet, ale także drukowana prasa, nie ma żadnego logicznego powodu, by nie uznać, że i ona jest „miejscem publicznym” skoro miejscem publicznym jest dostępna w podobny w gruncie rzeczy sposób, jak strona jakiejś gazety, strona internetowa. I ciągnąc dalej tą logikę, nie powodu, by nie uznać, że miejscem publicznym jest także strona książki – którą ktoś może wziąć do ręki w księgarni i przejrzeć – trafiając przypadkiem na jakieś nieprzyzwoite wizerunki lub słowa.

Powie ktoś pewnie: i bardzo dobrze! Nieprzyzwoite słowa – wulgaryzmy – i nieprzyzwoite rysunki – to nie jest właściwy sposób publicznego wypowiedzenia się. Można przecież wyrażać swoje poglądy w sposób kulturalny, nie posługując się nieprzyzwoitymi wyrazami i nie używając nieprzyzwoitych rysunków. Tym jednak, którzy tak twierdzą, trzeba powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, pojęcie nieprzyzwoitego napisu, czy nieprzyzwoitych słów, a chyba jeszcze bardziej nieprzyzwoitego rysunku jest pojęciem ocennym, a co za tym idzie, nieostrym. To, co dla jednego człowieka będzie nieprzyzwoite, może nie być nieprzyzwoite dla jakiegoś innego człowieka – i kryteria „nieprzyzwoitości” zmieniają się ponadto w czasie.

Z własnego doświadczenia pamiętam taką historię: w rozmowie z dziekanem wydziału na którym studiowałem – zgoda, że niewątpliwie człowiekiem starszej, przedwojennej daty – użyłem słowa „odrocza” jako określenia odroczenia grożącej mi teoretycznie rzecz biorąc przymusowej służby wojskowej (chodziło chyba o to, że musiałem wziąć z dziekanatu jakiś

papier i zawieść do WKU). W moim odczuciu nie powiedziałem nic wulgarnego, czy nieprzyzwoitego – no gdzież bym śmiał! – co najwyżej posłużyłem się słowem z młodzieżowego slangu. Jednak mój rozmówca był użytym przeze mnie – nie wulgarnym, według mnie – słowem wyraźnie zniesmaczony. „Co? Odroczka? Sraczka?” – taka, jak pamiętam, była (mniej więcej) reakcja Pana Dziekana. Odnośnie sprawy, o której w tym tekście jest mowa zastanawiałbym się np. nad nieprzyzwoitością znaku „zakaz pedałowania”. Zastanawia mnie przede wszystkim to, co w oczach tych, którzy domagają się karania za prezentowanie tego znaku na podstawie przepisu kodeksu wykroczeń zabraniającego umieszczenia w miejscach publicznych m.in. nieprzyzwoitych rysunków czyni ten znak czymś nieprzyzwoitym? Czy to, że widniejący na tym znaku wizerunek można odczytać jako przedstawiający parę uprawiającą seks analny – choć powiem tyle, że jest to tylko pewne odczytanie (choć myślę, że zgodne z intencją twórcy) tego znaku, nie jego obiektywna, niemożliwa do zrozumienia w jakikolwiek inny sposób treść – no przecież jeden pan (czy pani) może pochylić się o 90° do przodu, a drugi stać tuż za nim i mogą nie uprawiać przy tym ze sobą żadnego seksu - czy może raczej to, że ten co najwyżej dyskusyjny co do jego nieprzyzwoitości wizerunek przekreślony jest symbolem znaku zakazu? Czyli że nieprzyzwoite jest nie bardzo symboliczne przedstawienie uprawiania seksu – w każdym razie samo w sobie – lecz, że nieprzyzwoita jest wyrażana przez znak „zakazu pedałowania” nietolerancja wobec homoseksualistów? Podejrzewam, że w istocie rzeczy to drugie – ale to pokazuje jak dalece odchodzi się w tym przypadku od klasycznego kryterium nieprzyzwoitości i jak rozciąga się to pojęcie.

Po drugie, odnośnie twierdzenia, że można wyrażać swoje poglądy w sposób kulturalny – bez wulgaryzmów, czy niekoniecznie będących wulgaryzmami obelg lub epitetów – powiem tyle, że najczęściej jest to, oczywiście, możliwe. Lecz nie zawsze, niestety, tak jest. Ludzie wyrażając swoje opinie o czymś, lub o kimś wyrażają często nie tylko czysto „merytoryczne” zdanie na temat tego czegoś, lub kogoś, ale także emocjonalny stosunek do tego kogoś, czy czegoś. Komentatorzy wyroku Sądu Najwyższego w sprawie **Cohen v. California** z 1971 r. trafnie zauważyli, że takich emocji wobec przymusowego poboru do wojska w czasie wojny wietnamskiej, jakie wyrażał widniejący na kurtce oskarżonego w tej sprawie, Paula Roberta Cohena, napis „fuck the draft” (pierdolić pobór do wojska), nie wyrażałyby inne, hipotetycznie wyobrażalne słowa – np. „I absolutely disapprove the draft” (absolutnie nie aprobuję poboru) czy nawet „I hate the draft” (nienawidzę poboru).

Komentatorzy wspomnianego wyroku amerykańskiego sądu zauważyli też, że kimś oskarżonym na podstawie przepisu kodeksu karnego Kalifornii, zabraniającego „złośliwego zakłócania porządku lub spokoju jakiegokolwiek sąsiedztwa lub jakiegokolwiek osoby poprzez obraźliwe zachowanie” został ktoś, kto miał na sobie (na sądowym korytarzu) kurtkę z napisem „Fuck the draft” – a nie np. autor napisu „Fuck the Vietcong”. Będący autorem zdania większości w sprawie Cohena sędzia John Marshall Harlan stwierdził, że ściganie formalnie rzecz biorąc za użycie jakiegoś nieprzyzwoitego słowa może nie być niczym innym, jak przykrywką ścigania za wyrażanie niepopularnych poglądów. To jest jednak dokładnie to, z czym mamy do czynienia w sprawie dotyczącej Mateusza Sitas. Rzecznik Praw Obywatelskich, wnosząc do Sądu Najwyższego kasację dotyczącą formalnie rzecz biorąc tylko kwestii uznania Internetu za miejsce publiczne w rozumieniu art. 141 k.w. i

sędziowie Sądu Najwyższego, dokonując – wątpliwej, jak już wspomniałem - wykładni tego przepisu umożliwiającej ukaranie lidera DiN z powodu treści umieszczonych przez niego na stronie internetowej tego stowarzyszenia – postąpili zgodnie ze starym przysłowiem: „jak się chce psa uderzyć kij się zawsze znajdzie”. Takim kijem do uderzenia „psa” jakim zapewne w odczuciu Adama Bodnara i sędziów izby karnej Sądu Najwyższego jest lider faszyzującego stowarzyszenia „Duma i Nowoczesność” Mateusz Sitas ma być artykuł 141 kodeksu wykroczeń. Nie bardzo jest to gruby, co prawda, kij – maksymalna kara możliwa do wymierzenia na podstawie art. 141 k.w. to tylko ograniczenie wolności, a nie np. więzienie, czy choćby areszt – ale wspomniane przysłowie niestety naprawdę się tu przypomina.

* Należy rozróżnić dwa występujące w polskim prawie pojęcia: „publicznie” i „w miejscu publicznym”. W wielu przepisach kodeksu karnego, zwłaszcza dotyczących przestępstw polegających na wypowiedziach, pojawia się zwrot: „kto publicznie” (znieważa Prezydenta RP, znieważa lub poniża konstytucyjny organ RP, nawołuje do popełnienia zbrodni, etc.). W doktrynie prawnej przyjmuje się, że wypowiedź – bądź inne działanie – ma charakter publiczny wówczas, gdy może dotrzeć do jakiejś większej, potencjalnie nieograniczonej liczby osób. Wypowiedzi zamieszczane na ogólnodostępnych stronach internetowych – jako, że potencjalnie może zapoznać się z nimi każdy mający dostęp do Internetu – są niewątpliwie wypowiedziami publicznymi. Jeśli więc ktoś w tekście zamieszczonym na takiej stronie art. **znieważa prezydenta**, robi to publicznie – choć nie robi tego w miejscu będącym „miejscem publicznym” w fizycznym, przestrzennym sensie tego słowa. Jednocześnie jednak, jeśli ktoś – przykładowo – znieważa prezydenta w rozmowie w cztery oczy z drugą osobą w publicznym parku, to nie znieważa prezydenta publicznie – mimo, że robi to w miejscu publicznym. Pojawiający się w niektórych przepisach kodeksu wykroczeń (art. art. 51 § 1, art. 63a, art. 141) zwrot „w miejscu publicznym” tradycyjnie rozumiany był jako odnoszący się do miejsca publicznego w sensie fizycznym – tj. dostępnej w sposób ogólny przestrzeni – a nie do takich „miejsc” jak strony gazet, czasopism, książek, czy współcześnie strony internetowe.

[Strona główna](#)